***Wysiedlenie rodziny Dymalskich***

**Wspomnienia Heleny Brudkiewicz z domu Dymalska**

Dnia 12 grudnia 1939 r. przyszli do naszego mieszkania dwaj żołnierze niemieccy, by wyrzucić nas z domu. W pół godziny kazali się spakować i zabrać ze sobą dwa worki bagażu. Było rano, jedliśmy zupę mleczną, mama była
w pracy - mieliśmy sklep piekarniczy i piekarnię. Ojca nie było w domu. Poprzedniego dnia pojechał do Śremu po przydział mąki, żeby móc dalej piec chleb. Niemcy bez żadnego wyjaśnienia zamknęli go w celi i trzymali przez trzy dni. Mama nie wiedziała, co działo się z tatą, a teraz jeszcze każą się spakować. Nas dzieci było pięcioro: najstarszy brat Stanisław miał dziewięć lat, Sylwester kończył osiem, Janina sześć, ja - Helena cztery lata, a najmłodszy brat Marian miał zaledwie sześć miesięcy. Zapamiętałam tych żołnierzy w mundurach bardzo szczegółowo od butów do pasa. Mama spakowała w jednym worku pierzynę i spodek (coś na wzór obecnej kołdry z pierza), w drugim najpotrzebniejsze do życia rzeczy, a moi bracia do swoich tornistrów dołożyli rodzinne zdjęcia. Ubrani byliśmy grubo, na cebulkę, ponieważ na dworze było
minus 12 stopni. Pamiętam, że zgromadzili nas wszystkich w bóżnicy, obecnej Izbie Muzealnej. Następnie, zawieźli nas wozami drabiniastymi na punkt zbiorczy na stację kolejową do Śremu. Żołnierze wydawali rozkazy, by wejść
do wagonów pociągów towarowych. Mama w kąciku wagonu położyła spodek
i przykryła nas pierzyną. Poszliśmy spać.

Następnego dnia na stacji w Śremie wpatrywaliśmy się z wagonu na tłum chodzących ludzi. Z ogromną nadzieją patrzyliśmy na nich licząc, że wśród nich pojawi się ojciec. Nie mieliśmy pewności, że tam będzie, a jednak brat Sylwester go zauważył, zawołał „Mamo! Patrz! Tam idzie tata!”, zeskoczył
i podbiegł do niego. Radość była wielka. Tata powiedział nam, że zwolnili go
z aresztu mówiąc „Jesteś wolny, na dworcu jest Twoja rodzina, chcesz, możesz iść do nich”.

Podobno jechaliśmy dwa tygodnie do stacji kolejowej Kosowo około 100 km za Warszawą– kierunek na Siedlce. Kazali nam wyjść z pociągu
i poprowadzili do jakiegoś domu. Zapamiętałam duży pokój
z wieloma łóżkami położonymi w jednym szeregu. My nie dostaliśmy łóżka, rozłożyliśmy się naprzeciwko nich w kąciku. Oprócz tego w tym budynku była kuchnia, z której ciągle dochodziły podniesione głosy, ponieważ każda z rodzin chciała przyrządzić posiłek jak najszybciej. Mama, mając niezwykle spokojny charakter i nie chcąc nikomu wadzić, poszła jako ostatnia. Pamiętam,
że spędziliśmy tam jedną noc, być może było ich więcej. Jacyś ludzie przyjeżdżali wozami i zabierali po jednej rodzinie rozwożąc
je do najbliższych wiosek. Nas zawieźli do Międzylesia. Dali nam jeden pokój
w domu z czterema izbami. W pomieszczeniu tym były dwa złączone łóżka, stół, ława i piec węglowy. Warunki były trudne. Podczas deszczu dach przeciekał, dlatego musieliśmy podstawiać miski na podłodze z cegieł.

W wiosce tej dali ojcu pracę woźnego w szkole podstawowej (uczyli
w j. polskim). Jak zimę przeżyliśmy, nie pamiętam… Natomiast, gdy nastało lato, najstarszy brat Stanisław pasł krowy. Mama, by dostać trochę jedzenia, pracowała dorywczo u gospodarzy, czasem przy żniwach, czasem przy wykopkach. W sezonie młodszy brat Sylwester chodził z mamą na jagody,
a później na grzyby. Siostra Janka zajmowała się dzieckiem obcych ludzi, ja natomiast z młodszym bratem zostawałam w domu. Opiekowałam się nim, gdy jeszcze nie potrafił chodzić. W skrzynce, w której siedział, później zaczął robić pierwsze kroki. Gdy nauczył się chodzić, spacerował po izbie, a najczęściej
do pieca, by bawić się popiołem (na co mu nie pozwalałam). Z bratem zostawałam sama, nie przypominam sobie, by oprócz nas był jeszcze ktoś.
Z późniejszych opowiadań mamy wiem, że zaglądały do nas sąsiadki, by sprawdzić, jak sobie dajemy radę.

Do szkoły było niedaleko, więc brałam brata i szliśmy do taty, ale dopiero po południu, gdy dzieci opuszczały budynek. W klasach pod ławkami szukaliśmy chleba. Zdarzyło się, że znaleźliśmy małą suchą skórkę, którą sobie wydzieraliśmy, a ojciec stał z boku przyglądając się nam i przełykając ślinkę, bo sam był bardzo głodny. W domu przy obiedzie jedliśmy z jednej miski, garnka, patelni, czy talerzy nie mieliśmy. Z tego co pamiętam naszym posiłkiem zawsze były ziemniaki, albo zupa z pokrzyw.

Mama z bratem, jak już wspominałam, chodziła na jagody, które następnego dnia sprzedawała na rynku w Węgrowie. Dwanaście litrów tego owocu pozwalało jej kupić zaledwie dwa duże chleby. Chodząc na targowisko, musiała mocno trzymać koszyk, ponieważ żydowskie dzieci wytrącały go
 i rozsypywały jagody na ziemię, by móc je szybko pozbierać i zjeść.
 Z kolejnego opowiadania mamy wiem, że pewnego dnia, gdy wracała do domu trwała obława na Żydów. Żołnierze niemieccy gonili ich i strzelali, gdy znalazła się pośród nich, bardzo się bała. Pomyślała, że gdy zacznie uciekać, to wezmą ją za jedną z nich, więc zwolniła kroku. Pominęli ją zostawiając za sobą.

Kościół, do którego chodziliśmy, znajdował się w Ugoszczy. Tam moje rodzeństwo przystąpiło do Pierwszej Komunii Świętej. Ja osobiście pamiętam tylko Komunię mojej siostry Janeczki z roku 1942. Był to dzień wyjątkowy, ksiądz zaprosił dzieci pierwszokomunijne na poczęstunek – placek z kruszonką. Ja wraz z tatą i innymi ludźmi czekaliśmy wpatrując się w ciasto, którym ksiądz i nas poczęstował.

W roku 1942 mój ojciec dostał posadę w urzędzie w Miedzne, ponieważ bardzo dobrze mówił po niemiecku. W Międzylesiu często przychodzili
do niego gospodarze, by pisał pisma do urzędu. W młodości tata uczył się
w szkole w języku niemieckim przez co bardzo dobrze posługiwał się tym językiem. W związku z jego umiejętnościami przeprowadziliśmy się
do miejscowości Miedzna, gdzie w roku 1943 poszłam do Pierwszej Komunii Świętej.

 W okresie przedświątecznym Bożego Narodzenia tata przeszedł wiele kilometrów na pocztę w okolicy Międzylesia, by odebrać przysłaną przez rodziców mamy paczkę, która przyszła na nasz stary adres. Po dotarciu
na miejsce okazało się, że wyjęto z niej żywność, pozostał jedynie sam sznurek
 i papier, ale pokwitowanie odbioru musiał podpisać. W Wigilię Świąt Bożego Narodzenia zostaliśmy zaproszeni do gospodarzy na oglądanie ich choinki. Siedzieliśmy przy pustym stole. Po pewnym czasie rodzina gospodarza poszła do pokoju obok, by rozpocząć wieczerzę. Zostaliśmy sami. Mama stwierdziła, że już dość napatrzyliśmy się na choinkę, wiec postanowiliśmy wrócić
do mieszkania i naszych pustych garnków.

25 lipca 1944 r. urodził się mój brat Januszek. Dwa dni później Niemcy zbombardowali miasto Sokołów, a do naszego miasteczka dochodziły tylko wielkie huki, aż szyby z okien powypadały. Ludzie spanikowali, że teraz nas zaatakują. W Miedznej dachy były pokryte blachą, która świeciła w nocy, baliśmy się, że jest to widoczny punkt do bombardowania. Każdy gospodarz posiadał dwie stodoły. Jedną blisko domu, drugą na polu. Nasza oddalona była o 2 km od miejsca, w którym mieszkaliśmy. Tam schroniliśmy się wraz
z dwiema córkami gospodarza, które miały osiemnaście i dwadzieścia lat. Moje starsze rodzeństwo codziennie wracało do Miedznej, by móc zorganizować jedzenie. Często rano w oddali paliła się jakaś stodoła. Podobno Ukraińcy poprzedzali regularne wojska, zabijali i podpalali. Front się zbliżał. Ojciec
z braćmi wykopali okop, żeby się schronić, niestety nie mogliśmy z niego skorzystać ponieważ naszła do niego woda. Ze stodoły wszystko zostało wyniesione i pochowane w radlinkach, my również się tam położyliśmy,
by uniknąć spadających kul. Niemcy w Miedznej urządzili sobie obserwatorium
na wieży kościelnej, dzięki czemu mogli widzieć wszystko, co się rusza.

Gdy pierwszy front się zbliżył, oficerowie kazali nam uciekać, ostrzegali, że ma być jeszcze gorzej. Uciekaliśmy. Mama trzymała malutkie niemowlę, mające niespełna 2 tygodnie, a ojciec brata Mariana. My starsi biegliśmy już sami. Wokół nas nadal padały pociski. Po ich dźwięku nauczyliśmy się je rozróżniać. Wiedzieliśmy, które padną tuż przy nas, a które polecą dalej.
Co chwilę upadaliśmy, by schować się przed nimi, by po chwili uciekać dalej. Biegliśmy tak około 5 km, by front zostawić jak najdalej za sobą. Zatrzymaliśmy się przy schronieniach zbudowanych ze snopków słomy. Wyzwolenie miasteczka, które trwało 3 dni, nastąpiło 8 sierpnia. Po wyzwoleniu wróciliśmy do domów, jednak nadal nie było bezpiecznie. Córki gospodarzy zmuszone przez sytuację i w obawie o swoje bezpieczeństwo, musiały ukrywać się na strychu jeszcze przez kilka dni, dopóki cały front nie oddalił się
od Miedznej.

Czekaliśmy już tylko na oswobodzenie Mosiny. Gdy to nastąpiło, tata pojechał tam, by rozejrzeć się, czy można już wracać. Okazało się, że tak
i wrócił po nas. W drodze powrotnej gospodarz odwiózł nas do Warszawy wozem. Warszawa była bardzo zniszczona, pamiętam ją w gruzach, pamiętam ludzi, którzy ją odgruzowywali. Pociągiem pojechaliśmy do Mieszkowa
za Jarocinem. Z Mieszkowa odebrał nas brat mamy i zawiózł do moich dziadków, na wieś w Chwałkowie Kościelnym. Mieszkaliśmy tam do czasu, aż nasze mieszkanie nadawało się do zamieszkania. Do Mosiny dotarliśmy wczesną wiosną w 1945 r. Niemcy przemienili nasze mieszkanie na magazyny,
a sklep na wypożyczalnię nart. W sklepie nie było mebli, ani żadnych urządzeń, tylko brudne ściany i podłogi. Moi dziadkowie w miarę swoich możliwości wyposażyli sklep i piekarnię rodziców. Zakupili mąkę i węgiel, by ojciec znów mógł wrócić do pracy. Z kolei meble do domu dostaliśmy z pomocy społecznej. Nas nie było na nic stać.

W 1949 r. ukończyłam szkolę podstawową i złożyłam potrzebne dokumenty do Liceum Administracyjno - Handlowego w Poznaniu
przy ul. Śniadeckich. Egzamin pisemny zdałam dobrze, a z ustnego byłam zwolniona, jednak na liście przyjętych uczniów mnie nie było. Okazało się,
że przyjmowane są tylko dzieci robotników i chłopów, a mój ojciec miał inicjatywę prywatną. Na szczęście tata bardzo się starał i dzięki niemu przyjęli mnie. Szkołę ukończyłam w 1952 r.

 spisała Helena Brudkiewicz

 Mosina, dn. 24.09.2015r.